

# Steffenowa-Padowicz, Zofia

---

## Umiłowałam młodzież i polszczyznę

---

Przegląd Pruszkowski nr 1, 13-21

---

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zofia Steffenowa Padowicz

## UMIŁOWAŁAM MŁODZIEŻ I POLSZCZYZNĘ

Mam napisać wspomnienia z okresu mojego nauczania w Pruszkowie. Do momentu wybuchu wojny, a ściślej do chwili wyrzucenia mnie przez Niemców z mojego domu we Włocławku, Pruszków znałam jedynie z odwiedzin u moich teściów, doktorowstwa Steffenów, zamieszkałych na terenie szpitala w Tworkach. Był to dom gościnny, emanujący ciepłą, przyjazną atmosferą, zatem zarówno ja sama jak i moje córki - zachwycone przede wszystkim rozległym parkiem wokół domu - czułyśmy się tam znakomicie.



Fot. 3 Prof. Zofia Steffen

Ani mi w głowie powstało wówczas, że przyjdzie mi tam spędzić najtrudniejsze, choć nie pozbawione swoistego uroku, lata.

Jak wspomniałam, moim miastem rodzinnym i terenem mojej pierwszej posady był Włocławek. Tutaj to, po uzyskaniu dyplomu na Wydziale Polonistyki, rozpoczęłam pracę w Gimnazjum im. Marii Konopnickiej. Młodzież pochodziła z różnych środowisk: były to córki zamożniejszych gospodarzy z okolicznych wsi kujawskich, dziewczęta wywodzące się z miejscowej inteligencji, w tym spora część Żydówek, gdyż społeczność żydoska była dość liczna we Włocławku.

Wybuch wojny, która tak pogmatwała ludzkie losy, w tym także mój i mojej rodziny, zastał mnie samą z dwiema córkami, z których młodsza miała zaledwie dwa lata. Mieszkaliśmy wówczas na terenie elektrowni, gdzie mąż mój pracował jako dyrektor. Po zajęciu Włocławka, Niemcy zwołali zebranie nauczycieli. Obecne tam kobiety zostały zwolnione po wysłuchaniu przemówienia prezentującego nowy, hitlerowski ład w mieście. Mężczyźni natomiast zostali zatrzymani. Wywieziono ich w okolice Królewca, gdzie budowali szosę. O dalszych ich losach nic nie wiadomo. Jediną nauczycielką, która zwróciła uwagę Niemców, byłam ja z racji mojego nazwiska. Zatrzymał mnie bowiem jeden z oficerów twierdzących, że w Breslau mieszka chirurg o nazwisku "Steffen" - oczywiście Niemiec. Czy to nie jest ktoś z rodziny? Zaprzeczyłem solennie lecz mój rozmówca zaczął mi perswadować, że okoliczność posiadania nazwiska o niemieckim brzmieniu, może mi ułatwić przyjęcie Volkslisty, co wiąże się z licznymi korzyściami, przywilejami i tak dalej. Skóra mi cierpła na te nagabywania i z ulgą uwolniłam się od towarzystwa apostoła Trzeciej Rzeszy.

Rządy okupantów we Włocławku zaczęły z biegiem czasu przybierać w stosunku do ludności polskiej coraz bardziej okrutną formę. W 1940 roku rozpoczęło się wysiedlanie Polaków do Generalnej Gubernii. Ale dla mnie utrata domu nastąpiła już wcześniej. Pewnego dnia do mojego mieszkania zapukał mężczyzna w średnim wieku. Jak się okazało, Niemiec nazwiskiem Oberlee. Przyznaję obiektywnie, że był to osobnik o nienagannych manierach Europejczyka. Dopiero niedaleka przyszłość miała pokazać, jak bardzo powierzchowna była warstewka owej pozłotki, którą w pierwszym momencie można było wziąć za kulturę. Przybysz oznajmił mi, że obejmuje właśnie posesję dyrektora elektrowni i w związku z tym zajmuje lokal służbowy przynależny do tego stanowiska. A więc - fora ze dwora! Mam opuścić mieszkanie. Nowy dyrektor nie omieszkiał nadmienić, że przybywa z Ankary, gdzie zajmował analogiczne stanowisko, że jest mu przykro, że naraża mnie na kłopot, ale - prawo wojny, pani rozumie? Dodał też, że do chwili przybycia jego żony mam prawo gotować (w mojej własnej kuchni!) posiłki dla dzieci oraz korzystać z łazienki. Sądzę, że to pani ułatwi sytuację,

nicht wahr? On sam zadowolili się trzema z moich czterech pokoi. W momencie przyjazdu jego żony mamy zniknąć, pozostawiając meble i całe wyposażenie domu. Mogę zabrać tylko rzeczy osobistego użytku - swoje i dzieci. Cóż mogłam powiedzieć. Muszę oto wyjść z domu, pozostawiając cały swój dorobek. Na szczęście, spodziewając się eksmisji z mieszkania służbowego, zdołałam niektóre cenniejsze drobiazgi, między innymi obrazy, wcześniej przenieść do domu moich rodziców. Oczywiście, nie dokonałam tego osobiście, bo to zwróciłoby uwagę Niemców kręcących się po terenie elektrowni, ale przez robotników. Znali oni zarówno mego męża jak mnie jeszcze sprzed wojny i służyli mi teraz pomocą w ocaleniu choćby małej części mego dobytku. Szczególnie ofiarnie wykazywał się w tym dziele miłosierdzia jeden z nich, który przyjął Volkslistę. Jego życzliwość przekonała mnie, że osąd zachowania się ludzi w tamtych czasach nie powinien opierać się na pozorach. Tak więc to, co dało się przemycić, znalazło się w domu moich rodziców, lub na przechowaniu uczynnych robotników elektrowni. Rodzice moi nie podlegali wysiedleniu. Ojciec mój, pełniący przed wojną funkcję vice prezydenta Włocławka, jako były poddany austriacki, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, znał doskonale język niemiecki. Dzięki temu znalazł zatrudnienie w magistracie włocławskim jako urzędnik i tłumacz, stąd jego mieszkanie można było uważać za schronienie dość stabilne. Kiedy więc przybyła małżonka nowego dyrektora, zabrałam już wcześniej spakowane rzeczy osobiste, wzięłam za rękę starszą córeczkę, a młodszą na ręce i wyszłam ze swego domu. Spodziewałam się tego. to prawda, ale moment ten był dla mnie tak wstrząsający, tak straszny, że działałam jak w transie. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że kiedy dotarłam do domu rodziców, matka zapytała mnie ze zdumieniem. - Moje dziecko, a po co to zabierałaś? - wyjmując mi spod pachy butelkę soku malinowego. Nie zabrałam natomiast, ku mojemu szczeremu zmartwieniu, wózka spacerowego dla mojej dwuletniej Anuli. Zostawiłam też kupione przed kilku dniami ranne pantofle. Po namyśle skonstatowałam, że pójdę do nowych mieszkańców mojego domu i poproszę o zwrot tych rzeczy. Kalkulowałam sobie, że przecież osoba na poziomie nie będzie używać cudzych pantofli, a wózek dla bezdzietnego małżeństwa jest tylko zawadą. Poszłam więc. Otworzyła mi drzwi pani dyrektorowa. Już pierwszy rzut oka na jej postać, stojącą w uchylonych drzwiach, wyeliminował z mojej przemowy połowę moich roszczeń, bowiem na jej nogach spostrzegłam ze zdumieniem moje kapcie. Przedłożyłam jej zatem jak najuprzejmiej prośbę o zwrot jedynie wózka. Popatrzyła na mnie z dezaprobatą i wyjaśniła z nutą pretensji, że wprawdzie dziecka nie mają, ale mogą mieć, zaś czy tak czy siak, wózka nie myśli oddawać, bo to jest ich zdobycz wojenna. Sądzę, że w tym momencie wszyscy rycerze świata, śpiący od wieków w swych szacownych mogiłach, z chrzęstem zardzewiałych zbroi przewrócili się w grobach.

Wróciłam zatem do domu uboższa o parę pantofli i wózek dziecienny, bogatsza wszakże o przyczynek do mentalności niemieckiej.

Był to jednak powrót nie na długo, bowiem opuścić miałam również dom moich rodziców na mocy tak zwanego rozporządzenia przesiedleńczego. Tym razem była to dalsza droga, w którą udałam się z dwiema córkami, walizką i osiemdziesięcioma złotymi w kieszeni. Tu wypada wyjaśnić, że pozwoliłam sobie na przekroczenie limitu dopuszczalnego wywozu gotówki, który w naszym przypadku wynosił jedynie sześćdziesiąt złotych, licząc trzy osoby po złotych dwadzieścia. Tak więc z samowolnie powiększonym zasobem pieniędzy, dziećmi i walizką (dopuszczalna waga bagażu wynosiła 20 kg) znalazłam się wraz z innymi Polakami wysiedlanymi z Włocławka, w poczekalni dworcowej. Wyjście na peron strzeżone było przez żołnierza Wehrmachtu, który pilnował porządku, przepuszczając kolejno wygnańców i odbierając im rozkazy przesiedlenia. Zbiegiem okoliczności mój rozkaz ewakuacyjny mam do dziś, bo Niemiec stojący przy wyjściu na peron tak zachwyił się czarnymi oczyma mojej Anuli, którą trzymałam na rękę, że zapomniał wyjąć z rąk dziecka wspomniany dokument.

Znalazłam się w domu teściów, w Tworkach. Moje zasoby pieniężne, jak już wspomniałam, były dość nędzne, nie chciałam także obciążać kosztami utrzymania trzech dodatkowych osób moich teściów, którzy - acz wielce zasłużeni dla miasta i szpitala, do Krezusów bynajmniej nie należeli. Trzeba mi więc było znaleźć jakąś pracę. Dziadzio Steffen ofiarnie pomagał mi w poszukiwaniach, aż wynalazł mi zajęcie w kuchni dla ubogich prowadzonej na terenie Tworek. Co tu ukrywać - praca mi zupełnie "nie leżała", to też poczułam skrzydła u ramion, kiedy zwrócił się do mnie pan Bohdan Zieliński - nauczyciel z Gimnazjum imienia Zana w Pruszkowie, proponując mi pracę w moim zawodzie. Oczywiście, gimnazjum - jak wszystkie na terenach okupowanych - było zamknięte, ale profesor Zieliński organizował właśnie tajne nauczanie na kompletach i chciał mnie zaangażować jako polonistkę. Trawestując porzekadło: że "nieszczęścia chodzą parami", mogłam w tamtym czasie stwierdzić, że i uśmiechy losu czasem chadają w parze, bo równocześnie zaproponowano mi prowadzenie przedmiotu "korespondencja" w nowootwartym Gimnazjum Kupieckim w Pruszkowie. Jego dyrektorem był pan Roman Stefański, także przedwojenny nauczyciel od Zana. Była to okoliczność nader dla mnie pomyślna, bowiem należałam do ostatniego rocznika objętego zarządzeniem okupantów o wywozie na przymusowe roboty do Niemiec, zaś praca w "handlówce" dawała mi kartę pracy, dokument chroniący od wywiezienia.

Zaczęłam nowy rozdział mego życia. Czasy były straszne. Okupacja wraz z całym balastem niebezpieczeństw i ograniczeń przytłaczała wszystkich, jednak wspominam tamte lata z sentymentem. Jego źródłem jest przede



Fot. 4 Rok 1941. Grupa uczniów tzw. "Kursów Przygotowawczych".

wszystkim możliwość pogłębienia i rozwinięcia moich doświadczeń pedagogicznych. Mój zawód traktowałam zawsze jako moje życiowe powołanie, marząc o zrealizowaniu kiedyś idei mego ukochanego profesora Bogdana Nawroczyńskiego lansującego metodę nauki indywidualnej, dostosowanej do mentalności, predyspozycji i zamiłowań danego ucznia. Nauczanie w szkole przedwojennej, z uwagi na liczebność klas, nie dawało takiej możliwości. Stwarzały ją natomiast komplety, składające się z reguły z kilku zaledwie uczniów. Znalazłam więc wreszcie warunki dla realizacji moich zawodowych marzeń. Satysfakcja stąd płynąca przesłaniała mi na kilka godzin dziennie świadomość otaczających nas koszmarów. Byłam pracą tą na tyle pochłonięta, że nie bacząc na zmęczenie, podjęłam się po pewnym czasie wykładania na kompletach także historii, co stało się dodatkowym źródłem mojej satysfakcji. Na niektórych kompletach wprowadziłam zwyczaj powierzania od czasu do czasu prowadzenia lekcji i wygłaszania wykładu poszczególnym uczniom. Dawało to okazję do ciekawych, pasjonujących dyskusji, w czym celowali zwłaszcza dwaj z moich uczniów: Marian Pytkowski i obecny profesor, marszałek Senatu - Andrzej Stelmachowski. Ich szlachetna rywalizacja, młodzieńcza pasja, z jaką interpretowali wydarzenia sprzed wieków, stanowiły dla uczestników lekcji idealną odtrutkę na okupacyjną rzeczywistość. Czasem jednak, patrząc na moich kompletowiczów w ferworze dyskusji, lub notujących coś skrętnie - przesywała mnie straszna myśl: ilu z tych kochanych dzieciaków przeżyje? Czy wreszcie przeżyje ja sama? I w takim momencie stawał mi przed oczyma obraz, jaki widziałam codziennie, wracając do domu, często tuż przed godziną policyjną: moje

dziewczynki przylepione do prętów ogrodzenia i wypatrujące mojego powrotu. W tamtych latach każde przecież wyjście z domu mogło być ostatnie. Było kilka przypadków w mojej karierze nauczycielki okupacyjnej, kiedy niewiele brakowało, a moje dziewczynki na darmo czekałyby na powrót matki. Kiedyś - na przykład - prowadziłam lekcję w Gimnazjum Kupieckim, popularnie zwanym "handlówką". Oficjalnie była to lekcja korespondencji, zaś w rzeczywistości - jak nietrudno się domysleć, języka polskiego. Na tapecie mieliśmy właśnie Reja, ktoś z uczniów omawiał jego twórczość, klasa robiła notatki, gdy wtem - w otwartych drzwiach klasy pojawił się dyrektor Stefański, przepuszczając przed sobą mężczyznę o znajomej mi twarzy. Poznałam go natychmiast: nosił nazwisko Wiśniewski i był przed wojną pracownikiem kuratorium pomorskiego. Oczy zarówno moje jak i całej klasy skupiły się jednak na lewej klapie marynarki przybysza. gdzie wpięty był znaczek ze swastyką. Dyrektor przedstawił gościa jako pana wizytatora Kirschera. Czułam jak zawirowała mi w oczach klasa, na tle której uczniowie nerwowo wpychali do teczek notatki z Reja i podręczniki literatury. Tych ostatnich nie wolno było wprawdzie nosić do szkoły, ale spróbujcie wyperswadować coś młodzieży! Pan Wiśniewski vel Kirscher, choć się zeszmacił, ale nie był durkiem. Musiał zorientować się, w czym rzecz zarówno po zachowaniu się uczniów, jak i moich usiłowaniach kontynuowania lekcji już na temat dozwolony, czyli dotyczący korespondencji handlowej, o której zresztą do dzisiaj mam nader mgliste pojęcie. Mimo to jednak nie wyciągnął żadnych konsekwencji w stosunku do szkoły, co napewno - bez względu na pobudki - należy mu zapisać na plus.

Dużo więcej sytuacji, mogących skończyć się wiadomymi represjami, stwarzały komplety. Pamiętam, jak kiedyś podczas mojej lekcji pokazała się buda. Lokal był na szczęście na parterze, więc młodzież wyskoczyła przez okno do ogródka i stamtąd przedostała się na sąsiednią ulicę. Pozostałam sama z gospodynią mieszkania, która wcisnęła mi w ręce druty, kłębek wełny i rozpoczęła lekcję robót ręcznych, a ja byłam tym razem uczennicą. Przyznaję ze wstydem, że moja nauczycielka nie miała powodu do dumy.

Innym razem szłam na lekcję, która miała się odbyć w mieszkaniu państwa Rembalskich. Przeszłam przejazd kolejowy i znalazłam się na ulicy 3 Maja tuż przy zielonej budce, gdzie podczas okupacji mieścił się sklepik z artykułami spożywczymi. W tym właśnie miejscu minął mnie młody człowiek, którego twarzy nie pamiętam, ale z całą pewnością był to ktoś nieznamy. Mijając mnie człowiek ten powiedział patrząc nie na mnie, ale gdzieś w przestrzeń:

- Proszę nie iść do Maćka, tam jest kociół.

Posłusznie zatrzymałam się i weszłam do sklepiku w zielonej budce, gdzie kupiłam bulkę. Nazajutrz dowiedziałam się, że Włodek Rembalski

i kilku innych moich uczniów zostało aresztowanych. Z grupy wówczas aresztowanych ocalał tylko jeden.

Prawdziwie koszmarny dzień przeżyłam w 1943 roku. Był to rok ostatniej matury na kompletach. Prace pisemne z polskiego były oceniane wpiery przez pruszkowską komisję egzaminacyjną, a następnie przedkładane do oceny kuratora. Był nim wówczas późniejszy dyrektor Liceum i Gimnazjum Zana - pan Michał Sokorski. W owym dniu miałam zgłosić się do pana Sokorskiego po odbiór uprzednio dostarczonych mu prac maturalnych. Pragnąc maksymalnie wykorzystać moją bytność w Warszawie, po odbiorze prac od kuratora, udałam się do moich znajomych, państwa Kowalewskich, na ulicę Piękną, gdzie czekała na mnie paczka żywnościowa od moich krewnych mieszkających na prowincji.

Właśnie miałam wychodzić, aby pójść na Nowogrodzką. skąd wówczas odjeżdżała kolejka EKD w kierunku Grodziska, kiedy wpadli sąsiedzi państwa Kowalewskich z ostrzeżeniem, aby nie opuszczać domu i nie stać w oknie, gdyż ulica jest obstawiona i szykuje się coś dziwnego. Wnet mieliśmy możliwość przekonać się w jakim celu Wehrmacht zablokował ulicę. Przez gęste firanki widzieliśmy wywlekanych z samochodu ludzi w papierowych koszulach, których postawiono pod murem nie istniejącego już domu i rozstrzelano z karabinów maszynowych. Nie mogłam długo przyjść do siebie po tym strasznym widoku, jedynie chęć znalezienia się na powrót w pobliżu moich dzieci zmusiła mnie do wyjścia na ulicę i przejścia na chwiejących się nogach na przystanek kolejki. Niosłam w ręku torbę, na spód której włożyłam prace maturalne, zaś na wierzch wiktuały przysłane przez krewnych. W kolejce spotkałam pana Kuliga, dyrektora warsztatów kolejowych w Pruszkowie. Byłam jednak zbyt wstrząśnięta ponurym widowiskiem przy Piękną, żeby prowadzić rozmowę. Dojeżdżaliśmy do Rakowa, kiedy pan Kulig, patrząc w okno oznajmił scenicznym szeptem:

-Jezus Maria! Będzie łapanka! -

Jakoż w pobliżu przystanku kolejki zauważyć się dało budę, a na peronie żołnierzy w pełnym uzbrojeniu. Wchodzili oni do każdego wagonu i "po uważaniu" jednych pasażerów zostawiali, innym kazali wysiadać. Kazali wsiąść i mnie. Czułam, że ziemia zaczyna chwiać mi się pod stopami. Mam przecież w torbie prace maturalne z nazwiskami uczniów. Prace na "trefne" tematy! Podpisy komisji egzaminacyjnej, kuratora! Jeżeli to znajdą, lepiej nie myśleć, co może z tego wyniknąć! Zdrętwiałam, prawie nieprzytomna ze strachu podałam torbę żołnierzowi. Ten zajrzał do środka i ku mojemu zdumieniu i niebywałej uldze roześmiał się i powiedział najprawdziwszą gwarą śląską: - A co ty, matka, sklep zakładasz? - i gestem kazał na powrót wsiąść do kolejki.



Tak więc los był dla mnie łaskawy, choć wiele bliskich mi osób wojny nie przeżyło. Wspominam je z ogromnym żalem, zwłaszcza te pochodzące z rodzin żydowskich, których anonimowa śmierć, pozbawiona ludzkiej godności nie pozostawiła po sobie nawet nagrobków. W taki sposób zginęła moja przyjaciółka Mirka Waldman spalona wraz z rodziną w gabińskim gettcie. Inny koniec, choć równie tragiczny, spotkał Sonię Igel, dziewczynę o rzadko spotykanej urodzie. W momencie gdy Niemcy całą jej rodzinę wywozili do getta, Sonia zdołała uciec, w czym dopomógł jej całkiem "aryjski" niesemicki wygląd. Przedostała się do Warszawy. Będąc kiedyś w Warszawie spotkałam - ku swemu ogromnemu zdziwieniu - Sonię w towarzystwie oficera niemieckiego. Z jej spojrzenia wywnioskowałam, że mnie poznaje, ale udała, że się nie znamy. W jakiś czas potem dotarła do mnie wiadomość o jej losach. Otóż pracowała w niemieckiej kantine oficerskiej, będąc jednocześnie członkiem AK. Po pewnym czasie jednak Niemcy - być może na skutek donosu - zorientowali się, że jest Żydówką. Wieziona do Włocławka, wyrwała broń jednemu z konwojentów, zabijając swych prześladowców i na koniec siebie.

Więcej szczęścia miała inna moja uczennica. Była bardzo zdolna, pełna temperamentu, prawdziwie rogata dusza. Ona także pracowała w kantine oficerskiej. Poznała tam Niemca, jak się potem okazało, z pochodzenia Holendra, zatrudnionego w organizacji Totta. Wyszła za niego za mąż. Przez cały czas dostarczała dla AK cennych informacji uzyskiwanych - być może - od swego męża. Przeżyli oboje wojnę, mieszkają w Polsce, mają dwie córki i spory majątek odziedziczony przez męża Heli po niemieckich krewniakach.

Ja sama także czuję się bogata, lecz w coś bardziej cenniego niż pieniądze: żyję bowiem w otoczeniu rodziny, odwiedzają mnie moje uczennice i uczniowie, których przyjaźń i życzliwość jest mi bardzo droga.

Często zastanawiałam się, jakie są przyczyny mego bardzo silnego przywiązania do pruszkowskich "kompletowiczów". Dlaczego pracę z nimi uważam za szczególne osiągnięcie swojej działalności pedagogicznej? Może dlatego, że nigdy później nie dane mi było uczyć w szkole, że razem z nimi przeżywałam największą tragedię swego życia - powolną utratę głosu, czego nie mogłam im zdradzić. Może i to przyczyniło się w jakimś stopniu do serdecznej więzi, jaka mnie - bardzo starą już kobietę - do dzisiaj z nimi łączy. Ale to nie wszystko. Kiedyś, gdy rozmyślałam nad tą sprawą, i przypomniałam sobie pewne fragmenty z życia tajnego pruszkowskiego liceum - przyszło olśnienie. To przecież oni sprawili - te dziewczęta i chłopcy.

Twierdzenie, że była to młodzież, która chciała się uczyć, stało się już banałem; tego, że była to młodzież niezwykła, też nie mogę powiedzieć - młodzież w każdych warunkach pozostaje młodzieżą z jej zapalczliwością,



Fot. 5 Cztery Barbary z tzw. "Kursów Przygotowawczych",  
od lewej: Sierakowska, Stawiszyńska, Gnoińska i Woźniakowska.

chęcią przygody, skłonnością do psikusów, naturalną wesołością, czasem lekkomyślnością. Tak było i z nimi. Ale oni, moi "kompletowicze", mieli jeszcze jedną cechę - **byli prawdziwi.**

Oni to wszystko, co ja im podawałam, to, co przeczytali - przeżywali naprawdę. Może niektórzy z nich pamiętają żarliwe dyskusje na temat moralnych postaw wymyślonych przecież przez pisarzy postaci, sądy wyrażane z powagą lub z przymrużeniem oka na temat twórczości naszych wielkich w literaturze, spory o styl, niemal o każdą kropkę czy przecinek, śmiałe poglądy na temat wydarzeń historycznych, dyskusje, które przeciągały się daleko poza limit wyznaczonego nam czasu. Często usuwałam się w cień i z przyjemnością obserwowałam, jak o byle drobiazg skaczą sobie do oczu. Powtórzę to jeszcze raz: oni to przeżywali naprawdę. To była dobra szkoła - to byli świetni uczniowie - to było kształtowanie indywidualności, wyrastali ludzie o różnych światopoglądach, bardzo zróżnicowani, ale złączeni jakąś nicią bliskości.

I może dlatego te wspomnienia ogrzewają ciepłym światłem moją bardzo już głęboką starość.